

Jan Rokita: Fetysz jedności [FELIETON]

Byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby na wypadek wojny miało być tak, jak dzieje się w przypadku Ukrainy, że każdy z NATO-wskiej trzydziestki odważa się działać tylko w taki sposób, na jaki zgadza się cała pozostała dwudziestka dziewiątka. W traktacie tak napisane nie jest, ale dzisiejsza praktyka fetyszyzowanej jedności wygląda niepokojąco – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Najwłaściwszą odpowiedzią na zagrożenie jest jedność. To przekonanie jest tak mocno osadzone w tradycji myślenia politycznego, że apele o jedność, pochwały jedności, a nawet tylko deklaracje dążenia do jedności, zawsze w chwilach kryzysowych mogą liczyć na uznanie i aprobatę. Pewnie dlatego, jak tylko coś złego dzieje się na świecie, politycy, zwłaszcza politycy demokratyczni, a więc zależni od wyborców, prześcigają się w egzaltowanych laudacjach na cześć jedności. W europejskiej tradycji politycznej scenę archetypiczną w tej mierze relacjonuje Herodot w siódmej księdze „Dziejów”. Gdy Hellenowie dowiadują się, że Kserkses gromadzi wielką armię w Lidii i wkrótce zamierza się z nią przeprowadzić przez Hellespont, spotykają się tradycyjnie na Istmie, by „związać się słowem oraz przysięgą” w imię jedności Hellady. Wysyłają też posłów, mających zanieść posłanie jedności „do Argos, na Sycylię do Gelona, syna Dejnomenesa, i na Korcyrę, aby ją wezwać na pomoc Helladzie, innych wreszcie na Krete –

nosząc się z myślą, że może wszystko, co helleńskie razem wystąpi i wszyscy, uznawszy sprawę za wspólną, tak samo będą działali, jako że niebezpieczeństwo grozi wszystkim zarówno Hellenom”.

*Opis Herodota powraca dzisiaj
w pamięci, niczym
zakorzeniona w naszej
tożsamości klisza, do której
(świadomie, bądź nie)
nawiązują współcześni
przywódcy Zachodu*

Ta scena z Istmu sprzed dwu i pół tysiąca lat jest chyba najdawniejszą zapisaną pochwałą politycznej jedności ówczesnego „Zachodu” w obliczu azjatyckiej inwazji. Nic dziwnego, że

opis Herodota powraca dzisiaj w pamięci, niczym zakorzeniona w naszej tożsamości klisza, do której (świadomie, bądź nie) nawiązują współcześni przywódcy Zachodu, w obliczu nie wiedzieć której z kolei nawały, spadającej na Europę ze wschodu. Od przeszło miesiąca możemy obserwować toczące się nieustannie takie dyplomatyczne spotkania, jak tamto na Istmie, po których przywódcy nie mówią nam wiele więcej, niż to, jak wielką rzeczą jest jedność, którą udało im się osiągnąć, i jak bardzo ta jedność stanowi przykre zaskoczenie dla wschodniego tyrana, który wysłał na Europę swoje armie. Owa jedność, jak można sądzić po satysfakcji okazywanej przez wszystkich przywódców, nie przychodzi im łatwo, albo i może nawet nie jest rzeczywista, lecz nieco upozorowana i przypudrowana. Zapewne nie byłoby aż tak widocznej satysfakcji przywódców, gdyby jedność od początku była oczywistością. Tak samo zresztą było wtedy na Istmie; na przykład syrakuzański Gelon wyłamał się z jedności, pod pretekstem niezapewnienia mu roli głównodowodzącego. Tak czy owak, ostatnio już nawet trochę nudno wysłuchiwać tych mnożących się każdego dnia

pochwał i zakłęcz przywódców na temat jedności. Wiadomo bowiem, że nie stoi przecież za nimi wcale rzeczywista wspólna determinacja odparcia wschodniego najazdu. A co gorsza, widać coraz jaśniej, że paradoksalnie – odmieniana we wszystkich przypadkach jedność służy świetnie za wytłumaczenie paraliżu skutecznego działania, albo co najmniej za alibi dla działania niewystarczającego.

Wygląda bowiem na to, że w ciągu ostatniego miesiąca utrwaliła się w zachodnim sojuszu praktyka, zgodnie z którą za obowiązujący wszystkich uważa się wyłącznie minimalny wspólny mianownik decyzyjny, jaki udało się osiągnąć w konsultacjach sojuszniczych. Waszyngton na przykład posługuje się tym argumentem, aby obronić się przed zarzutami, iż z punktu widzenia politycznych zobowiązań wobec Ukrainy czyni o wiele za mało. Amerykańska odpowiedź na tego rodzaju zarzuty brzmi: musimy zachować jedność NATO, bo skutki decyzji będą dotyczyć wszystkich sojuszników. Nie tak dawno identycznie argumentowała Warszawa, gdy przez światowe media przewaliła się (skądinąd idiotyczna w warunkach wojny) publiczna debata na temat tego, czy Polska ma przekazać walczącej Ukrainie myśliwce, o które zabiega Kijów, czy też raczej ma odmówić takiej przysługi. W Warszawie powtarzano wówczas: możemy zrobić tylko to, co do czego udało się nam osiągnąć jedność.

Kwestia jedności zachodniego sojuszu wygląda najbardziej ryzykownie, jeśli wyobrazić sobie, iż wymóg jedności mógłby sparaliżować wspólną obronę. Jeśli bowiem decyzja o wspólnej obronie miałaby zależeć od osiągnięcia jedności całego Zachodu, to doprawdy lepiej nie znaleźć się w sytuacji kraju faktycznie zagrożonego inwazją. Traktat założycielski NATO w tak wysławianym ostatnio artykule piątym zakłada, iż każdy z sojuszników przyjdzie z pomocą krajowi napadniętemu „podejmując

*Byłoby nieszczęściem, gdyby
każdy z NATO-wskiej
trzydziestki odważa się
działać tylko w taki sposób, na
jaki zgadza się cała pozostała
dwudziestka dziewiątka*

niezwłocznie,
samodzielnie, jak i w
porozumieniu z
innymi, działania,
jakie uzna za
konieczne, łącznie z
użyciem siły
zbrojnej”. Ów
kluczowy punkt,
definiujący

mechanizm „casus foederis”, nie wymaga zatem (Bogu dziękować) sojuszniczej jedności, jako warunku działania. Przeciwnie, każdy kraj winien „samodzielnie” określić kroki, „jakie uznaje za konieczne”. Krótko mówiąc – jedni mogą wysłać armie na pomoc napadniętemu, a inni sformułować tylko dyplomatyczne deklaracje. Byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby miało być tak, jak dzieje się w przypadku Ukrainy, że każdy z NATO-wskiej trzydziestki odważa się działać tylko w taki sposób, na jaki zgadza się cała pozostała dwudziestka dziewiątka. W traktacie co prawda tak napisane nie jest, ale dzisiejsza praktyka fetyszyzowanej jedności wygląda niepokojąco.

Tak samo bowiem jak wszystkie idee polityczne, jedność może być równie dobrze źródłem wielkiej siły, jak i wielkiej słabości. Źródłem siły staje się wówczas, kiedy przemaga strach, spycha na dalszy plan polityczne partykularyzmy, prowadzi do rzetelnej i śmiałej hierarchizacji spraw, przedkładając wspólne przeciwstawienie się niebezpieczeństwu nad kunktatorskie kalkulacje polityczne. To właśnie w takich razach Kserkses najpierw przebija się co prawda przez Termopile, pali Ateny, ale w końcu spotyka go Salamina i musi z podwiniętym ogonem zwijać się do Azji. Może być jednak również i tak, że postulat jedności staje się fetyszem. A wtedy wystarczyłaby odmowa

syrakuzańskiego Gelona (który, zdaje się miał najsilniejszą armię w Helladzie), aby reszta uznała, iż z braku jedności całej Hellady nikt nie może się przeciw na własną rękę wystawiać na perski sztych. Gdyby tak zdecydowano wtedy na Istmie, to grecka historia zapewne potoczyłaby się inaczej. Być może Azja trwale wtargnęłaby do Europy już dwa i pół tysiąca lat temu.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego